

Jaśko Kawka siedział przy furmanie i drzemał. Konie stały przed rogatką łyżczakowską. Jaśko się obudził przetarł oczy i popatrzył z jakąś trwogą na nasze stolicę. Tyle domów, tyle wież przy kościołach.

— No Jaśku krzyknął ktoś z budy, jak ci się Lwów podoba?

— Bardzo ładny, bo się z wierzchu świeci, odrzekł udając odważnego. I rzeczywiście świeciły się dachy blaszane od wschodzącego słońca. — Ale jakieś nie zdrowe powietrze z miasta zalatuje, dodał po chwili.

— Tak, tak czuć gaz i dym, z kominów, co się wczoraj dymiły nad traktyjerniami i fabrykami. To pierwsze ważniejsze, ja cię zaprowadzę do Gieca na obiad, będziesz widział, jakie tam smaczne potrawy.

— Dajże mi pokój z jedzeniem.

Tymczasem zbliżył się do budy strażnik i wszyscy wysiedli. Strażnik przetrząsał słomę i przeszukiwał kufry czy nie wiozą do miasta jakich rzeczy bez opłaty. Niech sobie przerzuca paki i paczki podróżnych, a my przypatrzmy się Jaśkowi i jego towarzystwu. Jaśko szatyn, barczysty widać musi być silny z małym wąsikiem w polskim stroju, za pas zatknął jedną rękę a w drugiej trzymał niedbale rogatywkę. Ręce czarne, widać że nie delikacki, ale człowiek pracy. Reszta podróżnych byli starozakonni, w długich czarnych żupanach, oprócz jednego elegancko ubranego chłopczyka. Także nosił strój polski wysmukły młodzieniec i był mniej więcej w tym wieku, co i Jaśko.

— Ty mi coś smutny, Jaśku popatrz się na Lwów. Ach jak tu przyjemnie u siebie. Może się chmurzysz dla tego że tak długo każą nam czekać na rogatce, ale już jedziemy i za dziesięć minut będziemy w Józia kawiarni. Ty nie znasz Józia kawiarni, ale poznasz, ja cię zapraszam na kawę.

— Co ty mnie ciągle się pytasz czy znam, przecie wiesz, że pierwszy raz —

A tak prawda będziesz musiał starą babę pocałować nim wjedziemy do miasta. U nas taki zwyczaj.

A tyś całował, gdyś tu przed sześciu laty przyjechał?

— Ja nie całowałem, bo baba nie chciała, byłem jeszcze małym chłopcem.

— Panieże siadać! zawołał woźnica.

Podróżni pozajmowali dawne miejsca cisnąc się w budzie jak śledzie. Buda ruszyła się z miejsca i potoczyła się z góry gościńcem łyżczakowskim do miasta.

Jaśko był slusarzem i jechał właśnie do Lwowa, aby się przywieźć u jakiego dobrego majstra i wyzwolić się we Lwowie. Jego towarzysz Julek był czeladnikiem u zegarmistrza. Chodzili razem do szkoły. Julek miał dość zamożnych rodziców, nauka mu się głowy nie czepiała, więc oddali go do zegarmistrza, aby się uczył w praktycznym zawodzie. Jaśka rodzice mieli pole i dom w małym mieście i także posyłali syna do szkoły. Ojciec, mieszczanin szanowany przez wszystkich, miał piękne gospodarstwo, miał konie woły i pługi i sam uprawiał rolę. Nieraz po pracy ojciec pieścił jednaka i mówił ty będziesz adwokatem. Chłopiec pilnie się uczył, zawsze jakieś nagrody w szkole za pilność dostawał. To obrazki, to książeczki, to pióra. Ukończył szkoły normal-

ne, więc go ojciec odwiózł do łańskich. Miał w obwodowym mieście znajomego slusarza, co mu nawet był dalekim krewnym, u niego syna umieścił. Jedynak pieszczony, pierwszy raz z domu rodzicielskiego oddalony płakał serdecznie żegnając ojca. I ojca za serce ścisnęło, ale nie dał tego poznać po sobie. Przybrał twarz spokojną i powiedział:

— Nie płacz moje dziecko u pana Mateusza będziesz jak w domu.

Ej Jasiu, rzekł pan Mateusz, tu w mieście bardzo wesoło, a ojciec nie za światem, to przecie nieraz przyjedzie.

— Tak, tak wkrótce cię odwiedzę mój Jasiu, domawiając tych słów wsiadł na bryczkę i odjechał.

A Jaśko chodził do szkoły, uczył się, a wyglądał czy ojciec nie jedzie?

Dzieciom prędko czas mija, jak biczem trząśł podziął się cztery lata, kończył czwartą klasę gimnazjalną. Za parę dni klasyfikacja, pojedzie na wakacje, do domu do rodziców. Jeszcze tydzień mam czekać. Na drugi dzień liczył już tylko sześć dni, nareszcie liczył godziny i wyglądał drogą czy ojciec po niego nie jedzie. Minął już szesnasty lipiec, ostatni dzień szkoły przed wakacjami, a jeszcze koni nie było. Biedny chłopiec nie mógł sobie wytłumaczyć, jakimby to się sposobem stało, bo nigdy nie czekał tak długo. Pan Mateusz tłumaczył mu, że w domu mogły konie być w robocie, albo jakaś przeszkoda, jak to bywa w gospodarstwie, lecz gdy i drugi dzień upłynął szeptał Mateusz po cichu:

— Żle, źle bardzo. I można się było najgorszego spodziewać bo w całej okolicy grasuje cholera.

Jasio płacze i chodzi od kąta do kąta, nawet jeść mu się nie chce.

— Taki młody chłopiec mówił gospodarz i nie ma apetytu. Gdy był w twoim wieku to wyłatawszy się, byłbym całego wołu połknął. Jeszcze mi zmierzniejesz i rodzice powiedzą, że ci źle karmił.

Nie nie pomagało tłumaczenie. Raniutko trzeciego dnia wstał nasz student i pomyślał sobie: Znam doskonale drogę do domu, mam zdrowe nogi, to może i zajdę. Jak pomyślał, tak zrobił. Wyszedł za miasto. Słońce takie ciepłe toczy się po niebie czystem jak szyba, wypuktem jak sklepienie kościelne. Daleko bieleje droga pomiędzy żytami, a żyta żółte brzęczą, gdy wiatr niemi ruszy, takie dojrzałe, już wkrótce zbierać je będą.

Chłopiec zapalony, niespokojny szedł czemraz prędzej, zapominając o sobie, a ciągle przewidują mu się jakieś nieszczęścia. To mu się zdaje że ojciec chory, to matkę widzi w chorobie. Zaspiewał na odwagę jakąś piosnkę nabożną i zdaje mu się, że mu łżej na sercu. Oglądał się za siebie, daleko widać uszedł. Miasto już ledwie widać. Patrzy przed siebie, słup kurzu się wznosi. Pewnie ktoś jedzie pomyślał. W istocie jechał wóz zaprzężony paroma małymi, ale dobrymi koniami. Jaśko poznał konie i wóz sąsiada już na kilkudziesiąt kroków, gdy się zbliżył poznał także woźnicę.

— Dokąd ty Jasiu idziesz zapytał go woźnica?

— Do domu.

— Ja właśnie jadę po ciebie.

— Co się tam w domu dzieje, że nie przyśełali po mnie tak długo?